Ner 10. Kraków 15 maja 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów i t. d. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa w księgarni J. Czecha hotel dreździeński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny“ — w Krakowie.

Alfons Lamartine

SZKIC BIOGRAFICZNO-LITERACKI

przez

Lucyana Tomasza Rycharskiego.

(Ciąg dalszy).

Po trzech latach (zimą 1805) wrócił Lamartine na łono swéj rodziny, gdzie jako dorastający młodzieniec dostał swój własny pokój, zegarek, konia wierzchowego i strzelbę, i trudnił się czytaniem książek. Tłuste romanse z czasów cesarstwa mogły tylko odstręczyć jego delikatną duszę; tem chciwiéj tedy pochłaniał słodką truciznę owéj eterycznéj zmysłowości, która w sentymentalnych miłosnych powieściach prowadzi młode serce do marzącego próżniactwa. Najwięcéj upodobał sobie dzieła pani Staël, pani Coltin, pani Flahault, Richardsona, Prevosta, niemieckiego Lafontaine, poetów Tassa, Dantego, Petrarki, Miltona, Chateaubrianda; nad wszystkich jednak przekładał Ossiana, poetę mglistego, śpiewaka ruin i sentymentalnych upiorów. *Baour-Lormian* przetłumaczył go wtenczas, a cała Francya marzyła tylko o nim. Młode dziewice żegnały i witały swych wielbicieli z romansami o *Morwach.* Mrok téj egotycznéj melancholii drażnił młodą wyobraźnię 16-letniego ucznia, którego Jezuici nauczyli doskonale pływać w nieskończoności i niepewności.

Dla dalszego kształcenia posłano Lamartina do Paryża, gdzie pozostał trzy lata (aż do 1808). „Żyłem tutaj w największéj rozpuście i wybrykach swawolnéj młodości. Były to lata, które późniejszemu wiekowi przekazują tylko żal i upokorzenie, których wspomnienia chronimy się jak gorzkiego smaku, od którego usta drętwieją.“

Ukończywszy szkoły w Paryżu, udał się Lamartine z swymi krewnymi do Liworno, a ztamtąd potajemnie do Rzymu, gdzie śpiewak Dawid i jego siostrzenica Kamilla obznajomili go ze starożytnościami tego miasta. Po ich odjeździe przeniósł się na mieszkanie zimowe do domu starego malarza. Brat tego malarza, pewien rodzaj ludowego trybuna, zgadzał się pod względem owéj republikańskiéj nienawiści przeciwko Napoleonowi z legitymistą młodym Lamartinem. „Ileż razy wylewaliśmy gorzkie łzy nad losem świata, podległego wszelkim tyraństwom, gdzie filozofja i wolność na chwilę tylko zakwitają, aby znów doznać wszędzie zdrady, przekupstwa i zniszczenia. Ileż cichych przekleństw wydobyło się z naszéj piersi przeciwko temu tyranowi ludzkiego ducha, przeciw temu ukoronowanemu żołnierzowi, który się tylko dlatego zanurzył w rewolucyę, aby z niéj sił zaczerpnąć, i by takową późniéj obalić, a ludy na nowo rzucić na pastwę starych przesądów, starego jarzma. Od tego czasu datuje się moja dążność do wyzwolenia rodzaju ludzkiego i moja nienawiść przeciwko bohaterowi tego wieku, nienawiść, w któréj szczycę się że żyłem i w któréj spodziewam się umrzeć.“

Z Rzymu pojechał do Neapolu, gdzie stanął 1 kwietnia 1809. Tutaj obcował jedynie z przyjacielem z szkół jezuickich Aymonem de Virien. „Znużeni czczemi wysiłkami życia, których jeszcze nie doświadczyliśmy, zazdrościliśmy szczęśliwym lazaronom, którzy we dnie na brzegu morza spali, czasem improwizatorowi się przysłuchiwali, a wieczorem z młodemi dziewicami tarantellę tańczyli. Ich obyczaje, zwyczaje i charakter znaliśmy daleko lepiéj, niż eleganckiego świata, w który nigdy nie weszliśmy. Życie to podobało się nam i łagodziło ów febryczny niepokój duszy, który przedwcześnie wyobraźnia młodych ludzi zużywa przed chwilą, kiedy ich los powoła do działania i myślenia.“

To próżniacze życie nasunęło mu najwdzięczniejszy epizod jego żywota. Na wyspie Provida poznał rybacką rodzinę, dzielił ich zatrudnienia, przez pół roku mieszkał z nimi pod jednym dachem, czytał im sentymentalne pisma — listy Jakóba Ortis, owego włoskiego Wertera z republikańską barwą, i „Pawła i Wirginię“ Bernarda de St. Pierre — aby doświadczyć uczuć ludu. Przekonał się wkrótce, że ich serca więcéj są usposobione do powieści miłosnych i rozrzewniających, niż do politycznych bolów świata i genialnéj melancholii. Obok tych studjów i łowienia ryb, zawiązał Lamartine miłosny stosunek z piękną córką rybaka Graziellą. Długo to trwać nie mogło, stanowczy list matki powołał go (w maju 1810) do domu rodzicielskiego, a dobra dziewica umarła z żalu i rozpaczy. Lamartine zaś uczcił jéj śmierć w kwiecistym

poemacie: „*Pierwszy żal.*“ „Tak tedy wypisanemi łzami wynagrodziłem zatwardziałość i niewdzięczność mego 19-letniego serca. Ile razy wiersze te czytam, zawsze marzę o téj miléj postaci, która kołysząc się na przezroszystych i skarżących się bałwanach zatoki Neapolitańskiéj, żadnéj do mnie nawet nie czuła nienawiści. Ale tam u góry dusze są litościwe. Jéj dusza przebaczyła mi już. Przebaczcie i wy! ja płakałem!

Po restauracyi wstąpił Lamartine do gwardji; krótki jego pobyt w Szwajcaryi w czasie stu dni powrotu Napoleona, podał mu sposobność utworzenia swemi poezjami rojalistycznéj familii. Powróciwszy do Paryża, 1815 porzucił swą służbę i obcował głównie z dwoma przyjaciołmi ze szkół jezuickich: ze wspomnianym już wyżéj Aymonem de Virien, który jego lirycznemu zapałowi przeciwstawiał krytykę sceptycznéj natury, i z Ludwikiem de Vigny. „Przyjaźń ta była mi bardzo potrzebną; uwolniła mnie od owéj podoficerskiéj filozofii i téj zniewieściałéj literatury, jaka wonczas we Francyi panowała. Pokazała mi pierwotne natury, zamiast owych polerowanych kopij, z jakich się ówczesne towarzystwo paryzkie składało. Przesadziła mnie w nowy, oryginalny świat, którego typ był mi dotąd nieznany.“ Następują potém znów dwa lata zbytków, grzechów i swawoli. Gra hazardowa była główném jego zajęciem. Wygrywał i przegrywał naprzemian znaczne sumy w Medyolanie, Paryżu i Neapolu. Matka nareszcie wezwała go do domu ojca, którego majątek z powodu niespodziewanych nieszczęść coraz więcéj podupadał. „Żyłem — jeśli to życiem nazwać można — jakoby w półciemnym mroku zimowym. Nim zacząłem żyć, już mnie życie znudziło.“

Lamartine przebył sam jeden na swym zamku lato w niespokojnéj bezczynności; z pokoju przechodził do sali swych przodków, gdzie marzył, z sali do stajni, z stajni do ogrodu i t. d. Smutek jego tak się wzmógł, iż ta czczość myśli i uczuć sprawiała mu pewien rodzaj gorzkiéj przyjemności. Wreszcie znalazł towarzysza w księdzu *Dumont*, pierwszym swym nauczycielu, który również podobne melancholiczno-zdziczałe wiódł życie. Spotykali się często na przechadzkach i poczęli się nawzajem odwiedzać. Wkońcu Lamartine co wieczór zachodził do samotnéj plebanii, pomagał księdzu w jego wiejskich zatrudnieniach i rozmawiał z nim o niesprawiedliwości losu, o nikczemności ambicyi, zmienności i niepewności idei ludzkich i t. p. Na dowód otwierali raz po raz do dzieł filozoficznych, które późniéj wciąż czytali. Marzyli o rzeczypospolitéj a przeciw Jakobinom, o restauracyi, co miała koniec położyć cesarskiéj tyranii, a przeciw złemu dworowi. Lamartine napróżno starał się nawrócić swego filozoficznego przyjaciela modnemi religijnemi dziełami Chateaubrianda, Boualda, Lamennais, chociaż stylistyczna wartość tychże nie pozostała bez skutku. Lamartine starał się swą natężoną fantazyą powrócić do wiary swego dzieciństwa, aby przecież mieć coś pozytywnego, aż wkońcu zachorował, a lekarz, aby go wyrwać z téj samotności, polecił mu kąpiele w Aix w Prowancyi. Z 25 luidorami, które pożyczył sobie od dalekiego krewnego, pojechał do Chambery.

Teraz następuje wielka faza w jego życiu — miłość do delikatnéj, eterycznéj istoty, która wcześnie między aniołów powołaną została, a do któréj poeta tylko w duchowéj rezygnacyi się zbliżył. Mówi on o niéj:

Mais les siècles auront passé sur ta poussière
Elvire, et tu vivras toujours!

Cała Francya entuzjazmowała się tym pół-jawnym romansem. Poeta jednak nie mógł przenieść tego na swém sercu, aby pozostać w owém półcieniu; w ciągu swych *Wyznań* podał niektóre objaśnienia o Elwirze i swym stosunku do niéj, które atoli nie mówią wcale za prawdą jego uczucia. Tą razą zwie się *Rafaelem*, a swą kochankę *Julią*. Własną swoją osobistość przedstawia on, jak w „*Confidences*,“ z niektóremi dodatkami: „ces yeus qui sont imbibés de lumière jusqu'au fond, mais un peu humides des rayons délayés dans la rosée ou dans les larmes.“ Tutaj także mówi o swych duchowych zdolnościach: „S'il eût tenu un pinceau, il aurait peint la Vierge de Foligno; s'il eût manié le ciseau, il aurait sculpté la Psyché de Canova; s'il eût connu la langue, dans laquelle on écrit les sons, il aurait noté les plaintes aériennes du vent de mer dans les fibres des pins d'Italie.... S'il eût été poëte, il aurait écrit les apostrophes de Job à Jehovah, les stances d'Herminie du Tasse, la conversation de Roméo et Juliette au clair de lune, le portrait d'Haydé de lord Byron ....S'il eût réeu dans ces républiques antiques où l'homme se développait tout entier dans la liberté, comme le corps se développe sans ligature dans l'air libre et en plein soleil, il aurait aspiré à tous les sommets comme César, il aurait parlé comme Démosthène, il serait mort comme Caton...!!! Niestety, siła jego wyczerpnęła się w nędznych namiętnościach, a bezczynność przytłumiła zdolności. Czuje on głębokie znudzenie, ale duma jego nie pozwala mu wstąpić na drogę zwyczajnego człowieka. W 20 roku przeszedł on już wszystkie emocje, sfera namiętności nie ma mu już nic nowego do ofiarowania; wyrzekł się miłości. — Jako taki poznaje Julię, uczoną, ale cieleśnie schorzałą suchotnicę panteistkę, żonę starego pana, który z miłości dla jéj zdrowia studjował nauki przyrodnicze. Młody René obudza naturalnie jéj miłość, i w tém uczuciu wschodzi dla niéj świat nowy; natura, którą niby tak dokładnie znała, ukazuje jej nowe promienne oblicze, i nawraca się do Boga, wprawdzie nieco na sposób Atali. „Dieu! Dieu! Dieu! s'écria-t-elle encore, comme si elle eût voulu s'apprendre à elle-même une langue nouvelle, Dieu, c'est vous! Raphaël, me comprenez-vous? Non, vous ne serez plus Raphaël, vous êtes mon culte de Dieu!“ Obcują oni ze sobą

tylko duchowo, nie powodowani jednak cnotą, jakby to można z poematów wnioskować, ale dla lekarskiego przepisu. Tak tedy materyalizm nawet z poetycznéj młodzieńczéj miłości robi maskę. — Jeśli się teraz po tém wrażeniu zwrócimy do poezyj, tedy spostrzegamy, że wiele tam idzie na rachunek zniszczonego wieku; uczucie w poezjach ma tak delikatną barwę, iż bez przewodnika ledwobyśmy mogli rozpoznać tkwiący w nich materjalizm; jest on tam jednak, a zwróciwszy na to uwagę, spostrzeżemy nawet w tęsknocie za nieskończonością i wiecznością wyczerpnięcie malarza mieszającego kolory, pozbawione połysku, a który nie jest zdolen wykonać pewnego oznaczonego rysunku, lub wykończyć obrazu.

W przedmowie do swych „*Recueillements*" (1838) maluje Lamartine sposób swego pisania, które zwykle przypadało w jesieni. — „Zaledwie piąta godzina wybije na powolnym, ochrzypłym zegarze wieżowym, zrywam się z łóżka, *znużony snem i marami*, zapalam moją miedzianą lampę i niecę ogień w kominku, aby się ogrzać w téj małéj, sklepionéj, głuchéj wieży, mającéj postać grobowca. Otwieram okno i postępuję kilka kroków naprzód po spróchniałéj posadzce drewnianego balkonu. Spoglądam na niebo i na czarne wierzchołki gór, rysujące się ostro na błękitném tle zimowego nieba, lub kryjące swe szczyty w mglistym oceanie obłoków; jeśli jest wietrzno, tedy widzę chmury ciągnące ponad ostatniemi gwiazdy, świecącemi i znikającemi jak perły w głębinie, które bałwan w swych łamaniach odsłania lub zakrywa. Czarne obnażone gałęzie drzew orzechowych na cmentarzu szumią skarżąc się pod naciskiem wiatrów, a nocny wicher zmiata kupy suchych liści, które wzbijając się opadają u podnóża wieży. Na taki widok, w takiéj godzinie, w takiém milczeniu, wśród téj sympatycznéj przyrody, tych gór, gdzie się człowiek starzeć zdaje, jakoby dziesięć kroków nad grobem, gdzie wszystko, cośmy na téj ziemi najwięcéj opłakali, wypoczywa i nas oczekuje — czyż podobna, aby budząca się dusza, która się zanurza w przestworze téj nocy, nie miała się przepełnić trwożnem uczuciem owego uniwersum, nie miała się na chwilę zatopić w tych wspaniałych uściskach firmamentu z górami, słońca z łąkami, wiatru z drzewami, i aby prędka, elastyczna myśl nie miała się wydobyć z serca, by wstąpić na gwiazdy, a po tych gwiazdach do Boga! Pewna część istoty mojéj oddziela się odemnie, by się połączyć ze wszechświatem, jedno westchnienie nasuwa mi na myśl to wszystko, cokolwiek znałem, kochałem i straciłem w domu lub gdziebądź indziéj; silna nadzieja wiedzie mnie na łono Boga, gdzie wszystko się odnajduje; melancholia i zapał mieszają się w pojedyńczych wyrazach, które wymawiam głośno, nie obawiając się, czy je ktoś podsłyszy inaczéj, niż wiatr niosący je do Boga. — Robi się zimno, zamykam okno, powracam do wieży, gdzie ogień trzeszczy na kominie i pies mój się łasi. — Cóż mam czynić w tych trzech głuchych godzinach, poprzedzających brzask poranku? Wszystko śpi spokojnie, gdyż dzień do ludzi, a noc do Boga należy. Chwilę tedy doznaję rozkoszy. Robię kilka kroków w tę lub ową stronę, przypatruję się jednemu albo dwom portretom, wiszącym na ścianie, obrazom, które tysiąc razy lepiéj wyryte w mém sercu, mówię do nich, wówię do mego psa, który inteligentném i niespokojném okiem śledzi wszelkie ruchy mego ducha i mego ciała. Nieraz padam na kolana przed jedną z tych drogich pamiątek; częściéj zaś przechadzam się, wznosząc mą duszę do Stwórcy i szepcząc niektóre ułamki z modlitw, jakich nas matka nasza w dzieciństwie nauczyła. — Późniéj siadam przy dębowym stole, przy którym mój dziad i ojciec siadali. Wśród wielu zakurzonych książek leży piękny biały papier, ołówek i pióra. Oparłszy łokieć na stole, a głowę na ręku (była to ulubiona postawa Lamartina), kiedy serce wzbierze uczuciami i wspomnieniami, myśli pełne niepewnych obrazów, zmysły spokojne lub ukołysane w łagodną melancholję szmerem lasu, odbijającym się o moje okna, wtenczas zatapiam się w marzenia i głęboką zadumę, czuję wszystko, myślę o wszystkiem, bawię się ołówkiem — nagle myśl moja zatrzymuje się, uczucia i obrazy skupiają się, szukają postaci, a ja mówię sam do siebie: będę pisał. — Najlepsze z tych poezyj napowrót niszczę, albowiem oko i ucho ludzkie sprofanowałoby je. Ce qu'il y a de meilleur dans notre coeur, n'en sort jamais." W tych ostatnich wyrazach najlepiéj się maluje zagadkowy pod pewnym względem charakter Lamartina.

Abstrahując od płaskiéj kokieteryi tego opisu, widzimy tam podstawę jego zalet i błędów: ma on siłę nauczyciela i póty jest zajmującym, dopóki nie podnosi sztucznie swych uczuć, a z swych łez nie robi przemysłu. I liryczny poemat, jakkolwiek z usposobienia płynie, wymaga kierującéj ręki artysty; gdzie téj nie ma, tam widzimy tylko nierytmiczny napływ uczuć i niesmaczne nagromadzenie kolorów i postaci. Lamartine rozpoczął swój zawód szczęśliwém nawet porywającém natchnieniem; im daléj jednak, tém bardziéj improwizacya jego gubiła się w sentymentalnéj gadatliwości, lekkich łzach i westchnieniach, powierzchownem następstwie obrazów i uczuć bez doniosłości a nawet bez powagi myśli. Atoli wady te jego odkryto dopiero w późniejszych poezyach. W pierwszym wolnym wybredku gorącego usposobienia zapomniano zapytać się, o ile takowe było uprawnione. Czcość uczucia, hołd próżności, która się nie wzdryga nazwać dawniejszych uczuć tylko dowcipną deklamacyą, występują w jego własnych komentarzach tak jawnie i dotykalnie, iż trzeba się mieć na baczności, aby pod wpływem słusznego wstrętu do starego poety, nie zapomnieć o młodym: Kto tak umié wygłaszać swe najświętsze wspomnienia, ten zapewne nigdy prawdziwie ani głęboko nie czuł!

(Ciąg dalszy nastąpi).

DO MŁODEGO POETY

KAZIMIERZA G.

Bez szemrania krzyż swój nieść,
Wzbić się sercem po nad gmin,
Dawną ojców podnieść cześć:
To poezya — ach! to czyn!

Piersią w trwodze stać za mur,
I nie liczyć bratnich win!
Bronić sławy matek, cór:
To poezya — ach! to czyn!

Boleść z młodych poznać lat,
Dla ojczyzny być jak syn,
I miłością objąć świat:
To poezya — ach! to czyn!

Z taką pieśnią wieszczu idź
W świat, — a w znoju pierś swą trudź!
Przestań złudne mary śnić,
A do czynów braci budź!

I nie padaj w znoju sam,
Zmartwychwstania pieśni piej!
Bo nie dojdzie niebios bram
Kto się misji zaparł swéj!

Tak nam dzisiaj śpiewać wraz,
A nie chylić w trwodze głów!
Starzy wieszcze! wzywam was
Na świadectwo moich słów!

Władysław Bełza.

Nie zmyślone

POWIEŚĆ

przez *Paulinę z L. Wilkońską.*

(Ciąg dalszy).

II.

W salonie państwa Grątowskich kilka tylko było osób. Stolik do kart stał przygotowany, ale panowie zapuścili się w jakąś poważną rozmowę i zapomnieli o gierelaszu.

Na kanapie siedziała gospodyni domu, przyjemnego wejrzenia mateczka, i żwawą z sąsiadką, panią sędziną wiodła gawędkę. Obok na taburecie Eliza, z krzyżową robotą w ręku, raz po raz w pogadance udział brała. Blask lampy objął ją całą: wdzięczne drobnych rysów oblicze, z krasą wiosenną i uśmiechem młodym; wielkie oczy niebieskie; włosy ciemno-płowe ślicznie ułożone — i szczupłą, wiotką kibić, zgrabniutko oznaczoną w sukience jasno-popielatéj.

Niezadługo drzwi otworzono. Wszedł pan Jędrzéj Zadorski, a za nim Władysław. Eliza zapłonęła. Rodzice jéj nader uprzejmie, znać miłych sobie powitali gości. Ożywiło się grono całe. Rozmowa jeszcze potoczyła się raźniéj, potrącając o dzienne sprawy stolicy, i nowiny zagraniczne.

Władysław przyłączył się do pań. Starsi panowie mieli właśnie do gierylasa zasiąść, gdy znowu drzwi otworzono i służący oznajmił wizytę: pana radzcy Zerowicza i pana Bolesława Golt.

— Proszę — odrzekł pan domu chłodno nieco.

Pogwarka na raz jeden ucichła.

— Pan Golt — poszepnęła pani sędzina — to ten młody kawaler, którego nam przedstawiono na wieczorze u mecenasa.

— Ten sam — odrzekła pani domu — zostawał dotąd przy rządzie gubernialnym w X, a teraz bawi w Warszawie... i coś protegują go bardzo.

— On jest bliskim krewnym.... — pani sędzina zakończyła cichym poszeptem, bo właśnie zapowiedziani panowie weszli do salonu i okrąglutki pan radzca, z wiecznie grzecznym na szerokich ustach uśmiechem — pan Bolesław Golt, młody, przystojny brunet, z kruczemi włosami i bokobrodami dużemi.

Ruch w salonie powitalny powtórzył się znowu, ale teraz ceremonialny zupełnie i wymuszenie grzeczny.

Pan Golt niebawem do pań się zbliżył, a przemówiwszy parę zwykłych frazesów po polsku, zaplątał zaraz i Elizę we francuzką gawędkę, niby swobodną i całkiem salonową. Mówił gładko i wcale dobrym akcentem.

Władysław usunął się nieco, i począł rozmawiać z jednym ze starszych panów.

Pan radzca i pan Golt zabawili tylko pół godziny, by jeszcze parę oddać wizyt.

Po ich wydaleniu kilkosekundowe zaciężyło milczenie. Ale, to nie *anioł przelatywał*, jak mówi poeta, i raczéj niemiłe po sobie zostawili wrażenie. Pan radzca Zerowicz urzędnik do szczególnych poruczeń, dość znaczącą właśnie był figurą. Na ucho różnie sobie mówiono o nim, lecz potrzeba go było tolerować. Pan Grątowski, urzędnik wyższy, ojciec trojga dzieci, pana Zerowicza bardzo niechętnie przyjmował, ale.... narażać się nie śmiał. Ztąd też owa chłodna atmosfera przez długą jeszcze chwilę w salonie powiała.

Pan Jędrzéj, więcéj swobodny, jako obywatel ziemski, otrząsł się pierwszy. Poczém panowie do zielonego zasiedli stolika.

Władysław znowu przy paniach usiadł, i starał się wiązać daléj przerwany wątek rozmowy. Ożywioną pogadanką, przy umyśle wykształconym i wprawie towarzy-

skiéj, pożądanym zwykle był w gronie kobiet. Więc téż i teraz tok miły utrzymać potrafił. Ale, powiedzmy, z natężeniem pewném: wyraz *przekupstwo*, niby Balthazarowemi zgłoskami wrył mu się w duszę i palił głęboko. Nadto i wizyta owych dwóch panów dotknęła go dziwnie cierpko, a nie umiał sobie nawet zdać sprawy: dla czego?

Po wieczerzy, przechodząc z jadalnego pokoju do salonu, zdołał Władysław z ulubioną pomówić. Zatrzymali się przy stoliku na uboczu, i niby-to przeglądali ryciny. Opowiedział jéj o nadziei, którą stryj *pewną* być mienił, otrzymania posady, dającéj 6000 złp. rocznéj pensyi. — Eliza pochyliła się nad ryciną Neapolu, a na śliczném jéj licu dwie wdzięczne zakwitły różyczki.

Władysław coś więcéj jeszcze mówił, tłumiąc gorzkie przypomnienie przekupstwa, gdy Eliza zcicha zapytała:

— Więc senator przyrzekł?

— Obiecał stryjowi....

— I czémże go pan Jędrzéj zjednać potrafił?

Młodemu niby tchu w piersiach nie stało.

— *Kupił go*.... — wyrzucił zcicha z goryczą, i pobladł.

— A!.... — wybiegło z ust młodéj dziewczyny — jacy téż podli są ludzie!

Władysław ust przygryzł.

Rozmawiali długo jeszcze, a już po chwili znowu wypogodnieli, bo wszakżeż sobie spojrzeli w oczy, mówili o przyszłości, byli młodzi oboje i kochali się.

Stróż nocny właśnie północną ogłaszał godzinę, gdy panowie Zadorscy wyszli z mieszkania państwa Grątowskich. Pan Jędrzéj był w bardzo wesołym humorze, a Władysław rozmarzony szczęściem.

III.

Pan senator pisał coś tam przy sekretarce, w szlafroku perskim, z białą chustką na szyi, z wypomadowanemi włosami, które cały przewoniły pokój. Godzina była przedpołudniowa.

— Pani Szpryńclowa — oznajmił wchodzący lokaj.

W téj samćj chwili ukazała się we drzwiach do przedpokoju strojna kobieta, w okrywce aksamitnéj koloru modnego, zwanego *oreille d'ours*, w kapeluszu białym z piórem barwy zwaną *kalifornia*. Przebiegła już średnicę wieku, lecz dotąd jeszcze pewne zachowała wdzięki: pełną tuszę, oczy ciemne, błyszczące, a resztę dopełniła sztuka gotowalniana.

— Dzień dobry senatorze! — zawołała z wdzięcznym uśmiechem — cóż to znaczy, że mnie dziś meldują?

— Dzień dobry! — odpowiedział senator, obcym nie polskim akcentem — to nowy jeszcze lokaj...

Służący spojrzał niby trochę zdziwiony, i wyszedł.

— Zmęczyłam się — wymówiła kobieta, upadając obok na wygodną *cansense*'ę. — A przychodzę dziś w pilnym interesie. Czy nie przeszkadzam?

— Nie przeszkadzasz nigdy.

— *Toujours galant!* — pani Szpryńclowa rząd białych pokazała zębów i senatora poufale uderzyła w ramię.

— Jakiż to interes? — zapytał senator, poprawiając sobie z pewną kokieteryą białe na szyi wiązanie.

— Otóż po prostu z mostu. Nie będę *filowała* długo! — odrzekła mizdrząc się. — Słuchaj, *musisz* dać miejsce po zmarłym Widulskim Bolesiowi Golt.

— Hm!... — pokręcił senator głową — obiecałem już komu innemu.

— Bagatela! Obiecanka, cacanka! Co tam przyrzeczenie *jakiemuś komuś!*

— Obiecałem panu Jędrzejowi Zadarskiemu dla bratanka jego — przecedził senator przez zęby.

— Ah dla tego! — machnęła ręką, krzywiąc usta i mrużąc oczy.

— Władysław Zadorski przecie jest zdolny, pilny, prowadzi się dobrze...

— Prowadzi się dobrze! — powtórzyła przedrzeźniając pani Szpryńclowa — demokrata, demagog, czytuje zakazane książki, ma stosunki z emigracyą...

— Czy doprawdy? — wytrzeszczył na nią oczy pan senator.

— *Parole d'honneur!* — uderzyła się w piersi — i dziwi mnie, że tego nie wiedziałeś.

— Ani słówka!.... — pokiwał głową. — Przyobiecałem.... — zerknął na zamkniętą skrytkę, w któréj spoczywał list zastawny od Zadorskich.

Pani Szpryńclowa powstała.

— Mój senatorku, tylko żadnych nie miéj skrupułów! — wymówiła niby z ironią w głosie, jak gdyby zerknięcie jego była zrozumiała. — Musisz mi dać koniecznie to miejsce dla Bolesia! — pogłaskała go pulchną dłonią po licu, objęła za szyję i pocałowała w chudy policzek. — Inaczéj być nie może! Chłopca tutaj umyślnie po to sprowadziłam.

— Trudna trochę sprawa...— senator niby się wachał.

— Co tam dla ciebie trudne! — musnęła go pod brodę i coś poszepnęła do ucha.

Senator podumał trochę.

— A wiesz — zagadała, zasiadając znowu kanapkę — że Boleś złotym stanie się nabytkiem, który wam wielką będzie przysługą...

— Wiem, słyszałem...

— Zręczny, gładki, zdolny i sprytny, że i niemasz jemu równego. Przytém ma rozgałęzione stosunki z młodzieżą: z wiejską, która nieraz w polityczne lubi mięszać się burdy; z urzędniczą, która chętnie pokątném bawi się knowaniem; a co więcéj znaczy, z literacką, która stanowi inteligencyą, a ma związki z emigracyą, z emisaryuszami, i wié co tam to wichrzące wiecznie wychodźtwo knuje w Paryżu i Londynie. Boleś wiele od nich posłyszy, bo wszyscy w obec szkolnéj przyjaźni długie mają języki. Gadać lubią niby-to tajemniczo i popisywać

się z tém co wiedzą: że wielkimi są ludźmi! — zaśmiała się szyderczo — a Boleś jest gładki... — podniosła wskazujący palec ze znaczeniem — *comme une couleuvre*, i czego mu sami nie powiedzą, to z nich zręcznie wyciągnąć potrafi. Ufają mu, jako koleżce, a jeszcze on i umié z nimi... Musisz mu dać czasem jaką gazetę lub dziennik zagraniczny niepomazany, ażeby ich więcéj jeszcze do siebie przyciągnął. I niby téż-to czasem we wielkim sekrecie — wyrzuciła ze śmiechem głową — powié im jaką bardzo ważną tajemnicę rządową.... Już on to wszystko potrafi!

— Wiem, rozumiem.... — odrzekł w zamyśleniu senator — tylko żem obiecał.... Zawsze bieda z tymi Polakami!

— Głupstwo! Obiecałeś, więc i chciałeś, kręciłeś się, miałeś i wydatki.... ale uprzedzony zostałeś, bo stary Zadorski zgłosił się zapóźno. I kwita!

Pośmiali się oboje. Pani Szpryńclowa skoczyła znowu, wzięła go oburącz za szyję i pocałowała w twarz.

— Senatorku! — zawołała — wszakżeż mam już posadę dla Bolesia? Odmówić nie możesz.

— Zobaczymy, zobaczymy! — Senator uśmiechnął się bezecnie.

— Nie ustąpię! Nie ustąpię!

— No, no! Wolno, wolno!

Senator znowu żółte pokazał zęby.

— Ej, nie żartuj!

— No, toć-że już dobrze. Ale — dodał i pogroził palcem — musi nam służyć, bo tylko dlatego to uczynię!

— Na mój honor! — kobieta uderzyła się w piersi.

— Musi służyć gorliwie a zręcznie!

— Przekonasz się.

— Bo inaczéj....

— No, no! Mówię ci, że to nie lada akwizycja.

— To i niechże już tak będzie.

— Więc interes skończony! — przyskoczyła znowu i obiedwiema pogłaskała go dłońmi.

— A pomówimy jeszcze bliżéj....

— Pomówimy! I Bolesia przywiozę.... może jutro, pod wieczór, *entre chien et loup*. Rozmówicie się.

— Przywieź go.

— A trzeba ci wiedzieć — rzuciła się znowu na kanapkę — że jeszcze jeden zachodzi interes.

— Jakiż to?

— Chłopiec się zakochał! — klasnęła w dłonie.

— W kimże?

— W Elci Grątowskiéj.

— A!! niezły ma gust.

— Zakochał się na umór. Więc musi mieć klateczkę, by w niéj tego umieścić ptaszka.

— Ale coś słyszałem, że tam i młody Zadorski konkuruje?

— To i co? — zaśmiała się kobieta — właśnie téż dlatego, nie on, alę Boleś powinien tę posadę otrzymać.

— Więc go pozbawimy i żony i chleba? — wyszczerzył senator zęby.

— Niechaj stara się gdzieindziej. Gramy jakby w szachy: *gare au roi!*

— Ileż ta panna będzie miała posagu?

— Procent od sześćdziesięciu tysięcy. Bagatelę!

— No, przecież i to piechotą nie chodzi.

— Na te ciężkie zwłaszcza czasy. Trzy tysiące procentu, sześć tysięcy pensyi, przy gratyfikacyi na jaką sobie zasłuży, to i wyżyć potrafi.

— Niechaj tylko... Rozumiesz mnie!

— O!!!... Żeby tylko konie mógł trzymać, ekwipaż....

— Nie odrazu Kraków zbudowano.

— No, jutro tu będziemy. Do zobaczenia, senatorku! Zadowolona z dopiętego celu, pożegnała pani Szpryńclowa senatora jeszcze jednym uściskiem. Lokaj w przedpokoju z pewną atencyą tumaki na jéj zawiesił ramiona.

W trzy dni potém pan Bolesław Golt pożądaną otrzymał posadę.

IV.

Pan Jędrzéj pospieszył do Warszawy, odebrawszy od Władysława wiadomość, co się stało, oburzony i zmartwiony do głębi.

— Takie to bywają następstwa nieprawych sprawek! — wymówił do bratanka, zgrzytnąwszy zębami — bo nie może być wiary u sprzedajników!

— A kto wdaje się z podłymi, sam obrzuci się błotem, albo ich stanie się ofiarą — dodał Władysław, pobladłszy zlekka, i lepiéj podobno że tak się stało, żem nie zabrnął w tę Charybdę.

— Ha!... — westchnął pan Jędrzéj — gdzie przewodzi siła brutalna, powtarzam, i nikczemność, tam i dla prawego prostych dróg niemasz!... Pójdę ja jednakże do tego pana senatora, a posłyszę co mi powié.

— Wykręci się!

Pan Jędrzéj wziął kapelusz i wyszedł. Władysław zasiadł do pisarki i przerwanéj oddał się pracy.

Nie wyszło pół godziny, pan Jędrzej powrócił, bo nie zastał senatora.

— Oczewiście, że zaprzeć się kazał — wyrzekł — miarkowałem!

— To i nie mówmy już o tém, mój drogi stryju! — prosił Władysław — pocóż sobie krew psuć w dodatku jeszcze!

— Prawda.... Ale szkoda sześciu tysięcy. Oj hultaj zdradziecki!

Władysław spokojniéj zawiedzenie się przyjął — może dla tego, że przekupstwem tyle się brzydził.

W godzinę potém wszedł do pokoju z pokorniutkim ukłonem, człeczek malutki, szczupły, chudy, łysy, w mundurowym fraku.

— Uniżony sługa. Najniższy sługa — kłaniał się po razy kilka niziutko.

— Czy pan do mnie masz interes? — zapytał go Władysław z niechęcią.

— Do stryja pana dobrodzieja — i znowu figurkę swoją zgiął we dwoje — przysłał mnie pan senator.

— To i cóż takiego? — zapytał pan Jędrzéj chłodno.

— Pan senator żałował niezmiernie, żeś go pan dobrodziéj w domu nie zastał, i téż wysłał mnie zaraz. A boleje, alež jak boleje — dodał zausznik senatorski, przystępując bliżéj, przyciszonym głosem — że interesu wiadomego niepodobna, na teraz niepodobna było zrobić! Niezadługo wszelako pewną ma nadzieję, że panom dobrodziejom wygodzić potrafi. Chodził, jeździł, czynił co co mógł.... opłacał nawet — ochrzypłym poszepnął głosem — ale już było zapóźno, bo go uprzedzono. Szkoda, żeś pan dobrodziéj nie zgłosił się wcześniéj. Na raz drugi pan senator wystąpi zaraz, i rzecz skończy się pomyślnie.

Stryj i bratanek milczeli. Narzędzie senatora spojrzało na jednego i drugiego. Na przychudłe, wygolone policzki dwie czerwone wybiegły mu plamy, ale nie rumieniec wstydu, uchowaj Boże! tego nie znał wcale, raczéj szczególnego zalęknienia, przestrachu, że nie uderzyli czołem, uszczęśliwieni obietnicą możnego dygnitarza.

Chwila cierpkiego milczenia potrwała. Pomięszany biuralista odkaszlnął.

— Tak, tak, pan senator zrobi przy najpierwszéj sposobności wszystko — powtórzył, oddychając wolniéj, że na taki w ambarasie swoim zdobył się frazes.

Stryj i bratanek milczeli ciągle, zausznik niespokojnie kapeluszem kręcił w ręku.

— Pan senator — mówił daléj znowu – w tych dniach do Petersburga wyjeżdża.... ale.... wszelako.... interes pana dobrodzieja — nisko pokłonił głową — zaniedbanym nie będzie.... — spojrzał na zegarek — przepraszam panów dobrodziejów, ale.... mam czas wymierzony — powstał i zgiął się cztery razy we dwoje. Panowie Zadorscy skłonili się w milczeniu. Szurgając nogami, biuralista pana senatora zacofał się do drzwi i wyszedł.

Stryj i bratanek zaśmiali się gorzko.

— Niema rady! — zagadał po chwili pierwszy. — Niema rady z podłością!.... Porzuć urzędowanie, wyrobię ci od ś. Jana jaką dobrą dzierżawę, oddaj się pracy rolnika i chwal Pana Boga! Tutaj na chleb liczyć nie można.

— Fortunka moja za szczupła — odrzekł Władysław. — Cóż rozpocząć z 12,000 złotych?

— Ja tobie dopomogę.

— Stryju najdroższy!

— Mam podwójny obowiązek, bo z mojéj namowy wpadły te pięć tysięcy w gardło moskiewskie.

Władysław był blady, a wdzięczne uczucie łzę mu do oka cisnęło.

— Ostrzegam ciebie nadto, ażebyś był bacznym bardzo.... bo pan senator zechce może na tobie wstyd swój pomścić, jakiego przecie mimowolnie doświadczać musi. A przewielka to prawda: że łacniéj pokrzywdzony krzywdę przebaczy, aniżeli krzywdziciel pokrzywdzonemu wspomnienie wyrządzonéj krzywdy.... i wstydu!

— Jestem bardzo ostrożny, mój stryju.

— Stało się! Porzuć pióra i akta. Za powrotem do domu zaraz zacznę się starać, by tobie jaką korzystną wyszukać dzierżawę. Pannę Elizę uprzedź o tém. A gdy już będę miał kontrakt dla ciebie, przyjadę i oświadczę cię rodzicom, którzy, jak widzę, i tak już dobrze wiedzą co się święci.

— Elcia niema nic skrytego przed matką.

— To jest bardzo chlubnie. Azatém los twój inny weźmie obrót.... i winieneś podać się do dymisji.

— Władysław z rozrzewnieniem uściskał zacnego krewnego.

Wieczorem byli znowu u państwa Grątowskich. Władysław opowiedział Elizie wszystko. Poczciwe dziewczę chętnie przychyliło się do nowego projektu. I w młodéj myśli o białym dworku, ogródku, gospodarce, zielonych polach, cichym uroku wiejskiego życia, poetyczne wysnuwało marzenia.

Pan Bolesław Golt, pożądanym zaszczycony urzędem, urządził się elegancko i z comfort'em wyszukanym. Raz po raz jawił się z wizytą u państwa Grątowskich, całkiem ceremonialną dotąd. Odstręczał go Władysław, unikał z nim spotkania, a jeżeli się gdzie spotkali, to uosobioną dłoń był grzecznością Czuć się wszelako wyraźnie dało, że on nader nieprzyjemną był mu zawadą.

— Pan Jędrzéj wyrobił dzierżawę dla Władysława. Przybył do Warszawy, i oświadczył go państwu Grątowskim o rękę Elizy. Oświadczyny chętnie przyjęte zostały, bo oceniali zacny charakter młodego, i z rozczuleniem młodéj pobłogosławili parze.

Władysław podał się do dymisji.

V.

Eliza obudziła się z uśmiechem na ustach, bo śniła o wybranym; różowa, wdzięczna, jak majowy poranek, który właśnie zazielenił ziemię.

Zarzuciła okrywkę, otworzyła okno, i wraz z świeżym powiewem, którym zaranny tchnął przestwór, objęła okiem wdzięcznie przed nią rozpostarty krajobraz. Błyskotne promienie ozłociły wszystko w około. Szeroka Wisła wspaniale mętne nurty toczyła. Saska kępa zielonym uśmiechała się wieńcem. Domki pragskie wraz z mostem uzupełniły obraz. Po rzece różne kołysały się statki. Niebo było bezchmurne.

Świat cały przewoniła wiosna, i serce młodéj oblubienicy pełnym uroku wiośniało uczuciem. Władysław długo wczorajszego bawił wieczora i znowu na obiad miał przybyć.

Od ś. Jana obejmował dzierżawę wyrobioną mu przez stryja. Ślub był wyznaczony na sierpień.

Młoda dziewczyna patrzyła się w przestrzeń błękitną, i białe złożywszy dłonie, gorącą poszepnęła modlitwę, że aż połzawiały śliczne źrenice: dziękowała Ojcu Wszechrzeczy za dane jéj szczęście, i swoję poleciła mu przyszłość.

Po chwili usłyszała bieganie jakieś, poszmer niezwykły. Służąca jéj wbiegła do pokoju, blada, jakby zatrwożona, i wezwała ją do rodziców.

— Cò to, Józiu? Co to? — pytała, i także z przeczucia dotkliwego pobladła.

— Nic pani.... nic.... — jąkała się dziewczyna — tylko państwo zaraz kazali prosić.

Eliza z bijącém pospieszyła sercem. Rodzice siedzieli pochyleni, pobledli, widocznie ciężkiém dotknięci zmartwieniem.

— Dzień dobry!.... Co to? Co to? — złożyła Eliza dłonie i zachwiała się.

— Dziecko drogie! — objęła ją matka ze łzami.

— Tylko żadnych rozczulań! Żadnéj trwogi! — wymówił ojciec niby pocieszając, lecz głosem miękim — przecież to nic nie będzie!

— Ależ co.... co? — dziewczęciu tchu nie stało.

— Nic tak okropnego — odrzekł znowu ojciec, powstając — Władysława w nocy aresztowali....

Eliza jękła, upadła na kolana, i tuliła się do matki.

— I jest w cytadeli?! — zapytała z rozpaczą.

— W cytadeli — odrzekł ojciec, przechadzając się ze spuszczoną głową po pokoju. — Ale nic złego być nie może.... Denuncyacya jaka.... Wyjaśni się.

— Och! w cytadeli się nie wyjaśni! — jękła z bólem młoda dziewczyna. — Tam wiecznie jest ciemno!

— Dziecko, dziecko! — tuliła ją matka.

— Uspokój się! Niejeden ztamtąd i rychło powrócił.

— Niewola! Więzienie srogie! a poza tém idzie Kaukaz, Sybir, katorga.... szubienica! — wyrzuciła, i kurczowym, krzykliwym wybuchnęła płaczem.

Och! cytadela warszawska!.... Gdyby przemówiły jéj mury! Gdyby ktoś o niéj *Czarną księgę* napisać potrafił!.... Ileż ofiar pochłonęła! A jakie ofiary! I w jaki sposób!.... Nie, nie! Duchy zmarłych w katuszach nie spływają w miejsca przeklęte, nie ukazują się siepaczom, bo inaczéj, cienie krwawe noc przy nocy roznosiłyby trwogę po całym gmachu śledztw zbrodniczych i tortury!....

Upłynęło strasznych godzin kilka, zanim Eliza uspokoiła się nieco. A potém błagała rodziców, zwłaszcza matkę, by wyprosiła pozwolenie, ażeby Władysława chociaż przez minut kilka zobaczyć mogły.

Pani Grątowska zmiękczona błaganiem dziewczęcia, wybrała się, jakby na.... Golgotę. Chodziła, prosiła.... i wreszcie prezydujący w komisji śledczéj pozwolił: by Władysława Zadorskiego przez minut dziesięć, w cytadeli, w obec kapitana i jednego członka komisji, widzieć mogły za trzy dni.

— Więźnia każą uprzedzić także — wymówił, kiwnął głową, odwrócił się, i wyszedł do drugiego pokoju.

Pani Grątowska znękana cierpkiemi przejściami, ale w sercu pocieszona trochę, z modlitwą na ustach powróciła do domu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRECZ UROJENIA!

Precz urojenia — z pajęczych tkanek
Dzierzgane kwiaty marzenia.
Jak wzdychający wiecznie kochanek,
Przez całe życie u nóg kobiety,
Pleść z niezabudek miast z lauru wianek?
Płaczliwe jakieś marzyć sonety?!
Precz urojenia!...

Precz życie złudzeń — z kłamanych szałów
Kłamane tylko cierpienia.
Młodość zmarniała wśród *ideałów*....
A ideałem była.... *dziewczyna* —
Z piersi wykradła skarby zapałów.
Dziś — ona ledwo ciebie wspomina.
Precz urojenia!

Precz sny — czas ze snu serce rozbudzić,
Pożegnać marne złudzenia.
Z wiarą w anioły na co się łudzić?
Więc śmiało w przyszłość drogą boleści!
Pocóż rozpaczą serce wciąż studzić?
Precz łzy — niemęzki płaczu niewieści.
Precz urojenia!

Precz roskosz — kielich pełen szampana
Już nie da chwil upojenia.
W brudnéj roskoszy myśl wykąpana,
Słaba — piorunem nie chce wystrzelić
W niebo — dziś drzemie na wpół pijana,
A kiedyś chciała świat spółanielić?!
Precz urojenia!

Precz młodość — żarem uczuć spalona,
Dotknęłaś czary zwątpienia,
A ludzkość twoja? — ta wymodlona,
Ta idealna — ten gmach olbrzymów?
Runął jak wszystko. — Z nieba zstrącona
Rzucasz się jeszcze na gruzach z dymów?
Precz urojenia!

Precz miłość — jakieś serca zachcianki,
Słowiczych pieśni kwilenia.
Więc choć nektary w ustach kochanki
To niech pierzchają mary zwodnicze.
Precz z wiarą w serca — zdepcz nogą wianki
W któreś ubierał święte oblicze.
Precz urojenia!

Aleksander.

(B.) **TEATR.** — *Bursze* komiczna operetka w 1-ym akcie p. Fr. Suppé'go, tłumaczył W. Anczyc. — *Jan Jurga* obrazek dramatyczny w 1-ym akcie, K. Holteja, tłumaczył Lech Nowakowski. — *Podróż pana Orgona* komedja w 4-ch aktach przez pp. E. Labiche i E. Martina, tłumaczył W. hr. Bobrowski.

Z poprzedniego sprawozdania powinniśmy wspomnieć słów parę o *Burszach* — boć aż *trzy* razy widzieliśmy ich na scenie, a zawsze z wielkiém zadowoleniem przyjętych przez publiczność. Chociaż wielkiéj treści w tym wybryku dobrego humoru, tak maestra jak i autora libretta, napróżnobyśmy szukali. Jestto schwycony zręcznie jeden dzień z życia studentów Heidelbergskich i przedstawiony na scenie wiernie, jak fotografia z natury. — Wiele tu ruchu, komicznych sytuacji i ognia młodzieńczego, ale obrazek ten obcy dla nas zupełnie, obliczony jedynie na efekt i ubawienie prześwietnéj publiczności świątecznéj. To też pomijając treść sztuki, poświęcimy słówko jedynie grze artystów, a raczéj artystek, którym palone bóty i oryginalne stroje studentów niemieckich dodawały niemało wdzięku, a dobry humor panujący na scenie udzielił się i publiczności, która odwdzięczając się artystom, biła rzęsiste oklaski. — Dostało się tam trochę i naszéj delegacji. Bardzo zręcznie wtrąconych słówek parę przez *Szczoteczkę* (p. Nowakowski) i *Janka* (p. Tomaszewiczowa) przyjęte było przez publiczność z całém uznaniem. Pan *Nowakowski* w roli Szczoteczki był nieporównany. Elastyczny humor, komika i płynność gry w roli dosyć trudnéj zdobywały mu bezustanne *brava*, z których równa połowa przypadała pani *Borkowskiéj* (Brand) za jéj miły śpiew tyle czarujący pieszczotliwym akcentem i za zuchowatą postawę niemieckiego *bursza*, szczególniéj należy się słówko pochwały pani Borkowskiéj za „Canzonetta Napolitana“, którą na żądanie publiczności drugi raz odśpiewała prześlicznie. Pani *Tomaszewicz* (Janko) miłą nadzwyczaj karykaturę angielskiego lorda, a tuż za nią Djon (p. Nowakowski) oddali z całą komiką, jakiéj pozazdrościliby jéj niezawodnie Francuzi, którzy słyną z farsowania Anglików.

Jan Jurga skromnie przez autora nazwany obrazkiem dramatycznym, jest bezwątpienia jednym z najlepszych dramatów, jakie dotychczas w jednym akcie widzieliśmy na scenie. Pełno tu oryginalności i sytuacji wzruszających. Jan Jurga to parja, to parja w społeczeństwie, nędzarz jakich mnóstwo wpośród nas znajduje się, odepchnięty i wzgardzony od ludzi, któremu za całe wspomnienie lat młodych została na skroni łza umierającéj matki i kilka perełek oderwanych z jéj zastygłych piersi.... Ale Jurga ma serce, i ma go bezwątpienia więcéj aniżeli świat otaczający go.... W sercu tém które nieznalazło kącika na uczucie litości dla siebie, budzi się gwałtowna tembardziéj spotęgowana że długo tłumiona miłość ku pięknéj Annie (p. Borkowska), córce dzierżawcy Borna. Ależ w porównaniu z nędzą Jurgi, który pod głowę niema wygodniejszego posłania jak próg od stajni — Anna jest bogaczką; względnie do jego urody Anna jest cudem piękności — jakiż więc trudny dla niego przystęp do serca urodziwego dziewczęcia? Jurga jednak nie upada na duchu, i kiedy w prześlicznéj scenie, gdzie opowiada Annie nieszczęścia swoje, mówi, że od chwili śmierci matki, pięcioletnie dziecię nogą nielitościwego grabarza kopnięte z mogiły macierzy swojéj, za którą pacierz słało do nieba sierota biedny w świat ruszył, a w twarzy dziewczęcia jakieś litościwe budzi się dla niego uczucie; — to widzisz wyraźnie jak oblicze tego zdziczałego na wpół człowieka rozjaśniać się zaczyna: jak przez grubą powłokę kurzu i znoju przebija jakaś szlachetność, tedy i w sercu widza inne budzi się uczucie i inném już okiem zaczyna patrzéć na Jurgę. A cóż dopiero gdy w przedostatniéj scenie chcąc dać Annie jakikolwiek dowód miłości swojéj i chcąc ocalić kochanka jéj Karola, który przez zazdrość ku baronowi podpala jego stodoły, niewinny, jako zbrodniarz oddaje się w ręce sprawiedliwości, wiedząc, że według praw miejscowych będzie za to spalonym: natenczas wydobyć potrzeba cały zapas uczucia, aby go spożytkować na łzy i wzruszenia. Taka jest treść dramatu tego — czy wierna jest kopia rzeczywistości? o to radzibyśmy się trochę posprzeczać. — Bezwątpienia, że dramata które odgrywają się nieraz w duszy człowieka, gdyby je odsłonić dla widzów, tworzyłyby niemały szereg scen równie efektownych jak w Janie Jurdze, lecz kilka drobnych szczegółów, które wplątały się do układu tego obrazka, mogły zupełnie być wyrzucone.

Niestety! widzę, że idąc utartą rutyną moich kolegów recenzentów, i ja samemi pochwałami częstować muszę artystów.

Pan *Nowakowski* (Jurga) rozwinął przed oczami publiczności całe bogactwo swego talentu. A trudna to rola, wymagająca artyzmu i pewnéj już szkoły, aby w coraz to nowych przejściach nie popsuć całości i nierozdrobić je na pojedyncze sceny i sytuacje. Dla tego niechaj nam po za teatrem wolno będzie dodać jeszcze jedno *bravo!* — Pan *Wolski* (Born dzierżawca) za każdém wystąpieniem zyskuje coraz większe względy publiczności.

Pani *Borkowska* (Anna) jest tém dla sceny krakowskiéj czém pani Bakałowicz dla Warszawy — w Jurdze

trudne i pełne uroku sceny rozrzewniające oddała z całym artyzmem i znajomością sztuki.

Następnie wypada pomówić nam o *Podróży pana Orgona*, komedji cztero-aktowéj przerobionéj przez W. hr. Borkowskiego dla sceny polskiéj. Pan Orgon (Nowakowski), bogaty piekarz, po raz pierwszy wybiera się w podróż za granicę z żoną Pulcherją (pani Ekerowa) i córką Heleną (p. Wołłowiczowa). Nie przyzwyczajony do podobnego rodzaju ekskursji, wydaje się być mocno zajęty już-to pakunkami żony lub córki, które w prostocie i nieświadomości psychologicznéj zalicza do pewnego rodzaju bagaży. — Na dworcu kolei żelaznéj spotyka się z dwoma młodzikami, którzy zwabieni pięknemi oczkami córki szacownego pana Orgona, gonią za nią nie wiedząc kresu podróży. W dalszym ciągu sztuki widzimy już p. piekarza wygodnie rozlokowanego w niewygodnym hotelu w Karpatach, zkąd w okoliczne góry robi wycieczki konne. Zdarza się pewnego razu, że pan Orgon spada z rumaka i byłby bezwątpienia nadkręcił karku, gdyby nie odważna i pełna poświęcenia pomoc Alfreda (p. Wolański), jednego z młodych ludzi, których oczy p. Heleny zaprowadziły aż do Karpat. Pan Orgon niewymownie jest wdzięczny swojemu wybawcy, bierze go w opiekę, ale widocznie na tém traci drugi towarzysz podróży Henryk (p. Ładnowski syn), również aspirant do pulchnéj rączki córki piekarza i wypakowanego pugilaresu. Niebezpieczeństwo wymaga środków obrony. Wszelkie więc środki prowadzące do celu, mówi pan Henryk, są dobre. Niezadługo czekając wybiera się w podróż w góry z Orgonem, spada z konia i stacza się w przepaść. Ale przepaść niemiała widać dwóch stóp głębokości, skoro *konserwatywny* p. Orgon odważył się na podanie laski ratunku nieszczęśliwemu. Za pomocą więc kija wydobyty Henryk z przepaści, rzuca się w objęcia wybawcy, który z tryumfującą miną wprowadza go do żony i córki.

Pan Orgon zajęty jedynie Henrykiem, zapomina o wdzięczności dla Alfreda, z całą troskliwością zajmując się wybawionym. Tymczasem chwila powrotu do Warszawy zbliżyła się, i w trzecim akcie widzimy już pana Orgona u siebie w mieszkaniu, zapewne przy ulicy Piekarskiéj. Tu jednak zachodzi komiczna scena z pułkownikiem Zawieruchą (p. Deryng), który poprawiwszy w księdze pamiątek w Karpatach ortografję p. Orgona, został w tejże opisany jak wąż przez obrażonego parweniusza, z wszelkiemi epitetami głupców, osłów i t. d. Ma nastąpić pojedynek. Dowcipny piekarz chroni się od tego zawiadomieniem policji, w czém, dowiedziawszy się o pojedynku, dopomaga mu żona i Henryk „kochany." Do pojedynku jednak nie przychodzi z tego względu, że Orgon przeprasza pułkownika. Henryk więc, który i w tém pośredniczył, ma zostać mężem Heleny. Niewczesne jednak wygadanie się jego przed Alfredem z postępków swoich, przyznanie się do umyślnego stoczenia się w rów, aby tém pozyskać względy ojca, oburza Orgona, który całą tę rozmowę słyszał, i skłania się do oddania córki wybawcy swemu Alfredowi, czemu i panna wcale nie jest przeciwną.

Jakkolwiek sztuka ta przerobioną jest dla sceny polskiéj, dzieją się przecież rzeczy, które z naturą naszéj młodzieży nic polskiego nie mają. Gra zaś artystów, którą powyżéj rozebraliśmy, była również zadawalającą, a jeżeli tu i owdzie sterczały jakie chropowatości, to wina może zanadto francuzko-polskiego typu pana Orgona, którato wina nie na artystę ale na karb tłumacza spaść musi.

IDEAŁY I BANKIER.

Opuszczam cały początek romansu.

Było ich tedy dwoje na świecie, dwie dusze, które spotkały się gdzieś.... wśród mlecznéj drogi gwiazd, przy akompanjamencie słowiczych nokturnów i w obecności poważnego księżyca—przysięgli sobie miłość bezbrzeżną...

Dopełniając zwyczaju przyjętego w stosunkach konwencjonalnych, przedstawiam łaskawym czytelniczkom bohatera i bohaterkę mojéj ramotki:

Pan Alfred, artysta malarz. Panna Klara, także artystka sztuk wyzwolonych, a w szczególności—pianistka.

Więcéj choćbym chciał powiedzieć — nie mogę, bom nigdy nie ciekawy przeszłości moich bohaterów; co zaś do bohaterek, ciekawość moja niewinna ogranicza się na poznaniu mamy i papy, o których także niewiele powiedzieć można.

Jeżeliby zaś kto pragnął poznać powierzchowne przymioty tych dwojga istot, proszę wziąść pierwszy lepszy romans Balzaka do ręki, i wyszukać opisu 18-to letniéj dziewczyny — o kolor włosów ani o oczy sprzeczać się nie będę, chyba gdyby to przydać się komu mogło do psychologicznych uwag, to powiem już wtedy, że wszystkie moje bohaterki są brunetki i mają niebieskie wielkie oczy. Trochę stereotypowe postacie, to prawda, ale cóż kiedy ładniejszych trudno wyszukać nawet w błękitach, między gwiazdami.

Pan Alfred zaś, malarz, był parę lat starszy od panny Klary, blondyn jak wszyscy marzyciele, w oczy mu nigdy nie zaglądałem, nieumiem więc koloru ich oznaczyć, ale powierzchowności dosyć interesującéj był chłopiec. — Włosy — zdaje mi się zbyteczna to uwaga — że wszystkie w tył zarzucał. Pojmując ten zwyczaj jako spuściznę po ś. p. Van Dyku, promującą geniusze na malarzy rodzajowych.

Zdaje mi się, że nie wpadnę w żadne nadzwyczajności, jeżeli przypuszczę wraz z czytelnikiem, że panna Klara mogła kochać pana Alfreda, a pan Alfred ubóstwiać błękitny kolor oczów panny Klary, zwłaszcza, że panna umiała prześlicznie grać na fortepianie, a panicz przepadał za sonetami Bethovena.

Ktoś mógłby sądzić na pozór, że dwojgu tym istotom brakowało tylko trzech zapowiedzi, trochę księdza i świadka koniecznego, aby się nazwać szczęśliwemi. Gdyby się to wszystko tak łatwo znalazło pod ręką, musiałbym na wstępie do romansu położyć kropkę, a w nią zagrzebać całą sławę moją autorską.

Los przecież opiekujący się wszystkiém, tylko nie zakochanemi, przychodzi i mnie w pomoc i uwalnia od śmierci zapomnienia.

Bowiem.

Pewnego wiosennego wieczora, gdy panicz powtórzywszy pannie całą litanię przysiąg, zaklęć i całą potęgę elokwencji, umocnił ją w wierze o swojéj czystéj jak tchnienie aniołów miłości. Gdy panna Klara przeszedłszy wszystkie chromatyczne gammy serca, następnie najtrudniejsze nawet passaże Liszta oddała z calém mistrzowstwem duszy wywzajemniającéj się spowiedzią za spowiedź. Gdy wreszcie nic już ująć ani dodać nie można było do owéj sielanki, chyba zapach kasztanów rozwijających się na plantach.... Stała się rzecz mająca pozór wszelkiéj nadzwyczajności i cokolwiek związku z tabliczką Pitagoresa.

Chodziło o to, że dwa razy zero jest zero. A że dusze choćby najidealniejsze, kiedy się przypadkiem zdybią z tą matematyczną formułką, czują pewien rodzaj czczości, cóż dziwnego, że i panna Klara od owego wieczora niedowierzała trocha artyście, choć jéj przysięgał na kolanach, iż za błękitami jest bój i zwycięztwo. Bogiem a prawdą i sam Alfred pojmował to, że poezja nie wystarczy nawet na śniadanie i jedną parę rękawiczek balowych, i dlatego, odłożywszy ślub na czas pewien, postanowił wyjechać za granicę, aby zdobyć przebojem sławę i stanowisko... w jakim dzienniku literackim między znakomitościami.

Na podróż wystarczyło sprzedanie parę obrazków wcale ładnych roboty Alfreda, i gorący uścisk panny Klary z przyrzeczeniem częstego pisywania listów i wiernego a teskliwego oczekiwania.

Miłość więc stanęła na tym punkcie, że chcąc wiedzieć co się z bohaterami daléj stało, koniecznie każde z osobna obserwować musimy.

Tedy co robił pan Alfred? — Naturalnie studjował sztukę.

W jakiejś galicji Włoskiéj kopjował utwory znakomitszych pędzli, całemi godzinami stojąc nad stalugami z paletą w ręku, albo gdzieś na poddaszu w skromniutkim swoim pokoiku stawał nad pomalowaném płótnem i kończył portret kobiety przecudnéj piękności, o czarnych warkoczach i błękitnym wzroku, podobny zupełnie do panny Klary.

Zaś panna Klara?.... Pisywała z początku sążniste listy, niezapominając nigdy po wyrazach „Mój najdroższy“ postawić wykrzyknika; grywała na fortepianie najczęściéj czwarty akt z Łucji lub scenę pożegnalną z Traviaty, i.... tęskniła za Alfredem. Czasami jednakże gdy zbrakło tonu w klawiaturze, któryby dorównał wysokości skali jéj serca (fortepian panny Klary miał tylko półsiodméj oktawy) siadywała w oknie i z pierwszego piętra patrzała na gwiazdy, szukając zapewne w jakiéj konstellacji nieobecnego Alfreda.

Przypadek zdarzył, że raz rzuciła okiem i na ziemię, a na ziemi stał mężczyzna niepodobny wcale do gwiazdy i przypatrywał się pięknéj marzycielce. Był jeszcze drugi i trzeci wieczór, i wiele takich podobnych, a na ziemi stał zawsze ów mężczyzna niemający żadnego związku z ciałami niebieskiemi.

W jaki tydzień, mężczyzna ów kazał się meldować w salonie rodziców panny Klary, a na bilecie wizytowym pięknemi literami wylitografowane było „Miljoner.“

Byłto wcale praktyczny człowiek, który częstemi wizytami starając się uczynić znośną samotność Klary, najprzód przekonał ją, że chłód wieczoru nabawić ją może kataru, okno więc pozostało zamknięte. Potém, pan Miljoner znajdował, że czwarty akt z Łucji i scena z Traviaty denerwują nadzwyczaj, zamknięto więc i fortepian. Następnie pan Miljoner otworzył przed Klarą szkatułkę pełną bankowych biletów i.... zawiózł ją prosto do pięknie umeblowanych salonów, nie zapomniawszy wziąść ślubu u Fary i spisać intercyzy przedślubnéj u notarjusza.

W kilka lat po ślubie, pani Klara, która namiętnie polubiła dzienniki, wyczytała w jednym z nich wzmiankę, że jakiś obraz zmarłego za granicą a znakomitego artysty p. Alfreda znajduje się na wystawie. Dzienniki nie szczędziły pochwał, zdjęta więc ciekawością, poszła zobaczyć go. Byłto portret dziewczyny o czarnych warkoczach i lazurowém wejrzeniu.

Dzień ten był recepcyjny w domu Miljonera. Pani Klara na ogólne prośby usiadła do fortepianu — i zagrała prześliczny *Marsz żałobny*, za który słuchacze rzucili jéj oklaski.

A.

Kronika. — *Ogród Strzelecki jak się dzieli.* — *Skromne toalety.* — *Medytacje na cmentarzu.* — *Nadgrobki.* — *Teatr amatorski i występ p. Modrzejewskiéj.* — *Słówko o majówce straży ogniowéj.*

Dotrzymując słowa pięknym moim czytelniczkom, prosto prowadzę je ze sobą do ogrodu Strzeleckiego, na kwaśną śmietanę, muzykę, kurczęta z sałatą i.... przegląd toalet wiosennych, oraz nieinteresujących figur azjatyckiéj dziczy, która w samotrzeć łaziła między publicznością, nieprzyzwyczajoną do woni skór petersburskich. — Kto zmęczony upałem lub promenadą może sobie kazać podać porcję lodów...., a ja zaczynam opowiadanie.

Niemały to jednakże ambaras do którego świata przysunąć się po kronikarską żabkę, gdyż trzeba wiedzieć wszem w obec, iż ogród Strzelecki ma małe *kółko*, gdzie tylko *uprzywilejowani* i *intruzy* zasiąść mogą — daléj *rondo ogólne* dla *mieszanéj* rasy ludzi, to jest literatów, poetów i proletarjatu — a następnie *pod daszkiem*, gdzie siadają urzędowi piwosze. Za barjerę wysuwa się młodzież płci obojéj na przegląd ogólny i szczególne spojrzenia — zabawki nie mącące pokoju europejskiego, ani nie wpływające na kurs papierów gieldowych. Jako kronikarz żyjący na łasce waszéj piękne panie, chcąc się jako tako zasłużyć w opinii, poszedłem i ja za ogólnym prądem cywilizacji.... aby, coś napisać o jakiéj modnéj sukni albo o kapelusiku à la *grzybek*, który dzisiaj największy *chique* w modzie stanowi. Ale cóż? kiedy.... niestety! grzybków mógłbym nazbierać cały koszyczek dla obdzielenia zgłodniałéj jakiéj rzeszy, lecz po żurnale musiałem się wrócić do owego małego *cercle*, gdzie półboginie mody składają ów uprzywilejowany parnas.– Na brak przecież gustu nie można się uskarżać nigdzie, *zielony* z *żółtem* nie sąsiadował, wprawdzie niektóre sukienki mogłyby być o pół cała dłuższe — ale z drugiéj strony cieszy nas bardzo mała oszczędność wyrabiająca się w narodzie. Przynajmniéj na *zbytek* nie będą narzekać nieszczęśliwi małżonkowie. Przejęty uwielbieniem dla dzisiejszéj mody, z ogrodu Strzeleckiego poszedłem prosto zgadnijcie gdzie? — na cmentarz — aby zmówić pobożną modlitwę za duszę ś. p. krynoliny francuskiéj i koków cesarzowéj Eugenii. — Rozmyślając tak w skrusze nad krótkim a hałaśliwym żywotem téj zamorskiéj pani, wielce żałowałem tych wszystkich, którzy nie mogli wziąść udziału w całym szeregu majówek tegorocznych — skończywszy swój żywot przedwcześnie — gdy wtem uderzył oko moje napis następujący:

Żono moja! co śpisz w grobie,
Wieczysty już spokój Tobie.
Zrozpaczony łamię ręce,
Ale już nie wstawaj więcéj.
Bowiem gdyby duch Twój ożył
Jabym w grobie się położył.
Podpisano przywiązany mąż XX.

Uśmiałem się z tego dziwnego przywiązania małżonka — a dla uspokojenia go snać jakiś rymotwórca dodał ołówkiem:

Duch jéj w innym buja świecie,
Może w niebie się znajdziecie.

I dziwna rzecz, czuły małżonek, który widać dla przekupienia drażliwego sumienia codzień odwiedzał mogiłę swojéj ukochanéj, chcąc przekonać się czy leży spokojnie, odpisał poecie:

Z nią się spotkać, — czułe dzięki,
Już czyscowe wolę męki.

Na tém skończyła się ta zagrobowa korespondencja.

Napis ten przypomina mi wiersz jeden znajdujący się na nagrobku na pewnym cmentarzu ukraińskim — dla swojéj oryginalności godny powtórzenia:

D. O. M.

Brat Jana Piotr
Spłacając dług naturze,
Gdy umarł brat,
Wyrył mu na murze:
Tu leży Jan
Snem śmierci drzémiący,
Zacny jak Piotr
Brat jego żyjący.
Leży bo zmarł,
Żyć dłużéj niezdołał,
Poszedł, bo go Pan
Nieba, zawołał.
Pozostał Piotr,
Lecz bliska godzina
Że przyjdzie śmierć
Co łby ludziom ścina —
Przyjdzie — i wnet
Machnie kosą mglistą (!)
I weźmie Piotr
W kark dłonią kościstą.
Pójdzie gdzie lśnią
Blaski jasnéj *Feby*,
Gdzie zlatwiasz ty
Nie ziemskie potrzeby.
Lecz w sercu żal
Tego nie wysłowi:
Czy będzie Piotr
By wyrył Janowi?!

Tam czuły braciszek snać powątpiewając by mógł zostawić kogoś coby *mu wyrył na marmurze* — asekurował się towarzystwem zmarłego brata — dla téj choćby przyczyny, że i jemu kiedyś umrzeć przyjdzie.

Bojąc się, by wam piękne czytelniczki grobowe wiersze nie *dawały na nerwy* (jak mówią w komedji) zapraszam was na Teatr amatorski, który danym ma być na korzyść straży ogniowéj, a w którym znakomita artystka dram. p. *Modrzejowska* podobno bierze udział. Spodziewam się, że taką wiadomością zyskam sobie pobłażanie i łaskawe względy szanownych czytelniczek „*Kaliny*" za wszystko com w dzisiejszéj Kronice niedowcipnego napisał. Nie mała to będzie uroczystość dla Krakowian, która da sposobność rzucenia choć parę kwiatków na drodze artystycznego zawodu pani Modrzéjowskiéj.

A kiedy już mowa o straży ogniowéj, niechcąc znowu zrobić jakiego trampolinowego skoku, pomówić wypada o majówce urządzonéj przez tęż straż w dniu 9 b. m. — Kraków tak był wyludniony w tym dniu, że gdyby w jego mury wpadł Moskal jaki lub Turek zbrojno, zastałby za łup cały, same kaleki a starce (proszę się nieobrażać, gdyż z wyrażenia tego mógłbym coś ustąpić na korzyść wonnéj młodzieży). Mimo deszczu tedy, który tak impetycznie uderzył na piękne kapelusze, niemając względu nawet na te, które miały cechę najmodniejszéj pieczęci pani Figlowéj — majówka udała się zupełnie — oprócz ostatniéj galopki, któréj deszcz niepozwolił dokończyć. — Ciekawszych szczegółów téj uroczystości odsélamy do sprawozdania „*Kraju*“ w N. 57, uzupełniając je tylko tém, że w odpowiedź zasłużonemu literaturze naszéj wieszczowi W. Polowi podążył onym prześlicznym wierszykiem pan Wł. Belza, którego nazwiska przez bojaźń aby nie urosła jedna więcéj znakomitość w Krakowie — położyć zapomniano.

ODCZYT

Pr. W. Pola, o ostatniém dziele Seweryna Goszczyńskiego, p. t.: „Posłanie do Polski.“

Dnia 28 kwietnia, o godz. 12 z południa, w sali radnéj miejskiéj, miał miejsce publiczny odczyt Szanownego pr. W. Pola o znakomitym naszym poecie Sewerynie Goszczyńskim, a raczéj o ostatniém dziele jego noszącém tytuł: „Posłanie do Polski.“

Ociemniały prelegent przebiegł w krótkości życie Seweryna Goszczyńskiego *), dał nam wyobrażenie o epoce w jakiéj ten publicznie wystąpił, — o opiniach i przekonaniach politycznych i literackich jakie naówczas panowały,—jednem słowem nakreślił ogólny pejzaż, na tle którego postawił jasno i wyraźnie tytaniczną postać Goszczyńskiego.

Każdemu, obeznanemu cokolwiek z literaturą ojczystą, nie jest obcym utwór tego poety: „Zamek Kaniowski.“ Nie każdy jednak wié, jaki wpływ on wywarł na ówczesną publiczność? Walka romantyków z klassykami wrzała całą potęgą młodzieńczéj żywotności, i z wrzątku swego jak ze zburzonego morza wyrzucała nierzadko perły cenne do skarbnicy literatury ojczystéj, jak „Marją“ *Malczewskiego*, „Walenroda“ *Mickiewicza*. A było to właśnie po wyjściu tych poematów, kiedy Seweryn zawitał do Warszawy. — Zwycięztwo chwiało się jeszcze pomiędzy obiema walczącemi stronami — aż na szalę jego rzucił Goszczyński swój „Zamek Kaniowski.“ —Romantycy zwyciężyli!

W kółku ich zostawał już dłuższy czas nasz poeta, a jakkolwiek przerzucał się z jednego do drugiego stowarzyszenia politycznego, wewnętrzna—raz wyrobiona opinia nigdy w nim się nie zmieniła.

Ponury, milczący, zatopiony w samym sobie, rzadko chwytał za lutnię, ale gdy ją już podniósł, to ciskał takiemi gromami jak „Uczta zemsty!“

Dziś po latach tylu milczenia, wieszcz osiwiały przesyła do nas ze stron dalekich, z dalekiego tułactwa, ostatnie słowo swoje, które jak czcigodny pr. Pol słusznie nazwał, uważaném być może za najszczytniejsze psalmodje polskie. Nie jest to forma nowa (mówił daléj Sz. prelegent) takiemi psalmodjami obsyłali naród przy schyłku swojego zawodu Niemcewicz, Brodziński i Krasiński Zygmunt, do którego psalmodje Goszczyńskiego najwięcéj treścią i duchem się zbliżają.

Cudny-ż bo rzeczywiście ten utwór, jakby jednym tchem z duszy poety wyśpiewany, pełen wieszczego namaszczenia, niezachwianéj wiary w lepszą przyszłość, i stoickiego spokoju.

Polsko obudź się Twym Bogiem,
Obudź Bogiem ciało twoje —
Oto Chrystus Pan przed progiem
Jak gość puka w twe podwoje.

Mówi poeta na wstępie. Obudź się narodzie mój w Bogu, walcz w idei chrześciańskiéj, a wyjdziesz zwycięzki, — kończy pieśń pierwszą.

A potém przechodzi wszystkie męczarnie narodu, i z niezwykłą boleścią odzywa się:

Tylko ty Polsko — ty jedna,
O moja ojczyzno droga!
Stoisz samotna i biedna
Jak odtrącona od Boga!

Zmiłowania dla cię niema,
Ni duszy w dłoni podanéj...
Kto przejdzie zmierzy oczyma
Twoje królewskie łachmany.

Ale się wnet otrząsa z boleści i wieszczym głosem woła:

Nie na toś była stworzona
Abyś marnie zaginęła:
Co wyszło z Bożego łona
To ma być Bożego dzieła!

Poemat cały kończy się cudną, nieporównanéj piękności i namaszczenia poetyckiego modlitwą, w któréj wieszcz mówi:

...wszystkie bóle i cierpienia
Przyjąłem méj ojczyzny — krom tylko *zwątpienia!*

Ten ustęp najtrafniéj określa wielką duszę Goszczyńskiego. Nie możemy lepiéj zakończyć niniejszego sprawozdania, jak życzeniem aby dzieło to mogło być czytane i piastowane

---

*) Seweryn Goszczyński urodził się 1803 roku na Ukrainie, w Ilińcach w Lipowieckiem. — (Przyp. Red.)

w duszy każdego Polaka tak, jak je wypiastował w swém sercu wieszcz nasz Seweryn Goszczyński.

Władysław Bełza.

*** **Petycja kobiet w Paryżu.** — Na zachodzie kobiety na serjo biorą się do walki o niepodległość swoją. Po stronie płci pięknej stanęły takie znakomitości jak pp. St. Marc Girardin, Juljusz Simon, Legouvée, Karr, Laboulaye — i dopominają się aby kobietom wyznaczyć właściwe stanowisko w społeczeństwie, i dać im zupełną z mężczyznami równość wobec prawa cywilnego. Zawiązują się tedy kluby, gdzie na trybunę wchodzą piękne oratorki wyrzucając mężczyznom wiekową niewolę, wręcz odmawiają nadal posłuszeństwa... Bunt więc oczywisty. Mężowie ze swéj strony konspirują na swoją rękę, radzą wspólnie jakby grożącą burzę zażegnać, oraz odzyskać utraconą powagę pierwszeństwa. Trudna to jednak sprawa, w której niepodobna zadecydować gdzie sztandar zwycięzki powieje. — Dziennik *Le droit des femmes* broniący praw kobiet, ogłasza, że odbiera listy, gdzie piękne czytelniczki żalą się iż mężowie konfiskują to pismo, jako organ konspirujący przeciwko ich wolności. — Na jednym tedy z liczniejszych zebrań literackich, danym przez płeć piękną, kilka kobiet znanych z prac swoich w świecie naukowym podało myśl wystósowania adresu do rządu, w którym, zważając na to iż dotychczasowy system naukowy tamował wykształcenie kobiet—nie już praw wolności bytu politycznego, ale wolności kształcenia się w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu dopominają się. — Zdaje się że adres powyższy znajdzie wielkie poparcie w parlamencie, a rząd wyda polecenie do Uniwersytetów francuskich, aby wszystkie stopnie naukowe słuchaczom bez różnicy płci przyznawane były. Ciekawa jednak rzecz, czy rewolucja socjalna, jaką przygotowują na zachodzie kobiety, odbije się i u nas. — Dotychczas Paryż względnie do kobiet dostarczał światu, a w nim i Polsce, tylko wzory na modne toalety i parękroćstotysięcy krynolin, byłto podatek wybierany przez Zachód niby haracz lenny. Dzisiaj gdy kobiety wezmą się do pisania traktatów naukowych, do filozofii i ulepszania chasepotów.... niewątpimy w udoskonalenie i postęp — ale, można przypuścić, że mniejszą będzie konkurencja niż o kwiaty i stroiki balowe.... Wątpliwość ta zdawać się może grzechem wobec pięknych naszych Polek, gdybyśmy przypuścili, że wszystko warte naśladowania cokolwiek Francja stworzy. — Niestety, w tym bezmiernym oceanie wszech-rzeczy i wszech-postępu ludzkości... w tym Paryżu, gdzie moda i rewolucje są hasłem dla całego świata, dzieje się wiele rzeczy, które zaledwie na miejscu zaaklimatyzować się mogą — przeflancowane gdzieindziej, są jeśli nie grzechem to śmiesznością przynajmniej.

*** Dowiadujemy się, że pan Rapacki wraca dnia 16 b. m. do Krakowa i przed wyjazdem teatru naszego do Poznania, ma jeszcze wystąpić dwa razy.

*** „Radcy pana Radcy“ Michała Bałuckiego, mimo nadzwyczaj ostrych krytyk warszawskich, grane były na scenie Teatru wielkiego cztery razy.

*** Do Krakowa nadesłano z Dębowca w powiecie Jasielskim, na okaz rzeźbę 9-letniego chłopca, pastuszka nieposiadającego żadnej nauki, który nigdy nieuczył się rysunku. — Jestto posążek Matki Boskiej z drzewa wykrajany, dłutkiem zrobionym z gwoździa i kozikiem. Rzeźba ta jest nader udatną i wykończoną w szczegółach, a osobliwie twarz ma wyraz odpowiedni charakterowi N. P. Maryi. — Umieszczono tę pracę w Muzeum technicznem przemysłowem miejskiem. Do Lwowa zaś pan Hoszowski nadesłał marmurowe popiersie hr. Gołuchowskiego, odznaczające się dokładném wykończeniem i uderzającém podobieństwem. Jestto także samorodny talent, obiecujący piękną przyszłość. — Jak słyszymy p. Hoszowski staraniem przyjaciół sztuki ma wyjechać na studja do Mnichowa.

*** Podobno pp. hr. Skorupka i Stanisław Koźmian, zamierzają objąć dyrekcję teatru Lwowskiego w miejsce pana Miłaszewskiego, któremu kontrakt się kończy na Wielkanoc 1870 r. Publiczność tutejsza z wielkim smutkiem przyjęła tę wiadomość, mając dowody sumiennej i wytrwałej pracy około podniesienia sceny narodowej — dzisiejszéj dyrekcyi teatru Krakowskiego.

*** Jak zauważono dotychczas, młodzież akademicka nader skromny bierze udział w przyjęciu służby w straży ochotniczéj ogniowéj. — Chociaż to także instytucja mająca na celu bardzo szlachetną dobroczynność niesienia pomocy i ratunku. — Z przyjemnością jednak zapisać nam przychodzi, że Dr. Belcikowski wstąpiwszy jako członek czynny tejże straży — zaofiarował swoje usługi lekarskie bezpłatnie — które z wdzięcznością zostały przyjęte.

*** Pan Wildt księgarz nabył od p. W. Bełzy poemat na uroczystość obchodu rocznicy unii Lubelskiej, ofiarowany dziatwie polskiéj.

*** *Dr. Wojciecha Cybulskiego, prof. literat. słowiańskich w uniwersyt. Wrocławskim odczyty o poezyi polskiéj XIX wieku, przełożone z niemieckiego pod kierunkiem J. I. Kraszewskiego.* — Spodziewamy się, spuścizna ta po nieodżałowanym, a z wielu względów wielce cenionym pracowniku, zgasłym tak wcześnie — mile przez wszystkich zostanie przyjętą.

Jestto nietylko pamiątka po człowieku wielkiéj pracy i zasługi, ale dzieło dla literatury pożądane. Cenę tych odczytów, jedynych w swoim rodzaju u nas, dla tych co znali autora, samo już imię jego oznacza; dla ogółu nie możemy nic więcéj nad to powiedzieć, iż w dwóch dosyć obszernych tomach, zawarł zaledwie część na skalę wielką przedsięwziętego dzieła, a wyłożył to, czego dotknął, w sposób tak wyczerpujący, głęboko wnikający w istotę przedmiotu, iż odczytanie pracy téj obudza żal tylko, że w zamierzonych rozmiarach dopełnioną być nie mogła.

Dla literatury naszéj, w któréj pobieżne i lekkie sądy o wszystkiem zastępują dziś krytykę poważną — zbawiennêm będzie ukazanie się odczytów Dr. Cybulskiego, którego nauka głęboka i wielostronna, sumienność rzadka, umiarkowanie i bezstronność, a wytrawność, wiele wpłynąć mogą na sprostowanie najczęściéj na wrażeniu chwilowém opartych wyroków i na samą metodę krytyki literackiéj. Posłużą one dla młodszych pracowników za wzór i wskazówkę, a dla wszystkich czytelników wyjaśnią wiele stron dotąd w historyi współczesnego piśmiennictwa mało znanych.

Pierwszy tom Odczytów zawiera obszerny wstęp o Słowiańszczyźnie i Polsce, o panslawizmie i jego idei, z poglądem na prelekcje słowiańskie Ad. Mickiewicza i mesjanizm; rzecz o poezyi wogóle, a szczególniéj o poezyi narodowéj, potém obraz krajów polskich pod względem politycznym, społecznym i literackim przed rokiem 1830. Tu mieści się trafnie skreślony wizerunek życia umysłowego uniwersytetu Wileńskiego i porównanie go ze stanem ówczesnym literatury i oświaty w Warszawie. Wszystko to służy za mistrzowskiego legomena do wizerunka troskliwie skreślonego postaci Adama Mickiewicza i rozbioru pierwszych dzieł jego, ballad, wierszy różnych, Grażyny i dwóch części poematu Dziadów. Ustęp o poezyi ukraińskiéj, Malczewskim, Zaleskim i Goszczyńskim część tę zamyka.

Druga zawiera obszerny także zarys stanu Polski do czasu bezpośrednio poprzedzającego rok 1831 — skreślony z wielkiém życiem i znajomością stosunków ówczesnych; z charakterystyką poezyi z przed 1830 roku a następnie tych, które pod wpływem wypadków 1831 r. się zrodziły. Obrazu poezyi rewolucyjnéj 1831 roku nigdzie niemamy tak pełnego, tak wypracowanego, jak w tych odczytach. Jestto rzecz zupełnie nowa i źródłowa dla historyi epoki. Wiele zaginionych niemal i zapomnianych dźwięków, tu z całą siłą uczucia odbrzmiewa. Rozbiór poezyi Mickiewicza (1831—1844) porewolucyjnych, pieśni W. Pola, Suchodolskiego, Gaszyńskiego i poematu Garczyńskiego, Bohdana Zaleskiego i Zygmunta Krasińskiego (bezimiennego poety Polski) dopełniają téj części drugiéj, która równie jest wykończoną, równie zajmującą, — nowszą może dla nas, niżeli pierwsza. — Obie razem stanowią całość, któréj w tece spocząć dać się niegodziło. Nie zestarzała ona, bo od chwili zgonu zasłużonego profesora na polu nauki poważnéj, rychléj cofnęliśmy się niż postąpili; przynosi z sobą pożądane ze wszech miar pomysły, które do nowéj pracy pobudzić może będą zdolne. — Ufamy, że ogół czytelników naszych potrafi to dzieło, pośmiertną pamiątkę cichego, a wytrwałego pracownika, jak zasługuje ocenić.

Cena subskrypcyjna trwająca do wyjścia dzieła wynosi *2 tal. 20 srg.* — późniéj podniesioną będzie do *4 tal.*

Dzieło to wyjdzie jeszcze w roku bieżącym nakładem J. K. Żupańskiego, a zapisywać się na nie można we wszystkich księgarniach krajowych.

AFORYZMY I MYŚLI.

Miłość jak łza — w oczach się rodzi i na serce spada.

Kiedy Bóg strącił anioła nikt go nie przeklinał, ale kto strąci kobietę Bóg go przeklnie.

Łza na licach kochanki lśni jak perła. — Z oblicza matki kamieniem na piersi spada.

Życie mężczyzny dramatem być winno — kobiety zaś poematem.

Oczy kobiety porównywują poeci do gwiazd, usta do róży, a serce do... głazu.

Kobieta stoi między dwoma ostatecznościami — oblicze ma anielskie a serce częstokroć szatana.

Kobietę porównywają poeci do mimozy, która za dotknięciem nieumiejętnéj dłoni usycha.

Kobieta podobna jest do róży: dopóki w rozkwicie pieści wszystkie zmysły, po opadnięciu listków zostają — kolce.

B.

Katalożek bibliograficzny za miesiąc **kwiecień**, z księgarni Wł. Jaworskiego w Krakowie.

Dwaj Juljusze, kartki z ostatnich dni ich żywota, zebrał L. Siemieński, nakład W. Jaworskiego. Kraków. 1869.
Reforma w wychowaniu kobiet p. A. G. Warszawa. 1869.
Flora Ukrainy przez A. Andrzejowskiego. Warszawa. 1869.
Archiwum Wróblewieckie, zeszyt I. Poznań. 1869.
Z doli-niedoli, poezje Wł. Bełzy. Kraków. 1869.
Krytyczny rys wojny 1866 r. Genewa 1868.
Pogadanki Astronomiczne J. Bayera. Warszawa. 1869.
Szkice Historyczne (IV). K. Szajnochy. Lwów. 1869.
Posłanie do Polski S. Goszczyńskiego. Paryż. 1869.
Kościół ś. Jana Chrzciciela we Lwowie, przez K. Widmana. 1869.
Bibl oteka Ordynacji Krasińskich. Warsz. 1869.
Władza papieża w średnich wiekach. Kraków. 1869.
Dziadunio, powieść B. Bolesławity. Poznań, nakład K. Żupańskiego. 1869.
Biblioteczka Ludowa tom 56, **Lichwiarz**, komedja przez Ostrowskiego. Paryż. 1869.
Encyklopedja Powszechna tomów 28, cena zniżona, 58 złr. w. a. Warszawa, do r. 1868.

Dziennik „KRAJ“ wychodzi od 1 kwietnia r. b. **w zwiększonym** formacie.

Przedpłata miejscowa:

w Krakowie i we Lwowie w ajencjach naszych:

za kwiecień	złr. 2	c.	—
za kwartał do końca czerwca	„ 5	„	—
do końca roku	„ 15	„	—

w Poznaniu w ajencji naszéj:

za kwiecień	Tal. 1	sgr.	5
za kwartał	„ 3	„	15
do końca roku	„ 10	„	15

Z przesyłką pocztową w całém państwie austryackiém:

za kwiecień	złr. 2	c.	25
za kwartał do końca czerwca	„ 6	„	—
do końca roku	„ 18	„	—

w Prusach i Niemczech:

za kwiecień	Tal. 1	sgr.	15
za kwartał	„ 4	„	5
do końca roku	„ 12	„	15

we Francji i Anglji:

za kwiecień	10 fr.
za kwartał	27 „
do końca roku	81 „

w Belgji, Włoszech i Szwajcarji:

za kwiecień	7 fr.
za kwartał	20 „
do końca roku	60 „

Wszyscy nowi Prenumeratorowie otrzymają bezpłatnie, na żądanie, początek drukującéj się obecnie powieści Edmunda Chojeckiego p. t.:

„PRAKSEDA.“

Miejscowi Prenumeratorowie, życzący sobie odbierać tenże dziennik z przesyłką domową, raczą się zgłosić do księgarni *Józefa Czecha* jako ajencji naszéj i złożyć dopłatę miesięczną w kwocie 30 cent. za odsyłkę w mieście, a 45 cent. na przedmieście.

Do Szanownych Pań!

Przybywszy z zagranicy mam zaszczyt donieść Szanownym Paniom, że zawarłam stosunki z najznakomitszemi fabrykami Europy, to jest w **Paryżu** z firmami **Durst Wil F., Gros Sobre, Leonie Lechowaler, Pugi, Olento Masi,** w Padwie **Kantini,** w Wrocławiu **Poser E. Krotowski,** w Wiedniu A. Postler **Wajnberger** — zaopatrzyłam sklep na porę wiosenną i letnią na teraz w Krakowie, a na czas kąpielny w Krynicy. Wielki wybór w najnowszym guście kapeluszy do twarzy okrągłych — jedwabnych, krepowych, ryżowych, słomkowych, włósianych, brukselskich, florenckich — także ubiorków, czepeczków, kwiatów, piór; zarazem dostać można bucików wielki wybór własnego wyrobu, sukni gotowych, zarzutek, paletocików, rękawiczek, kołnierzyków, mankietów, szalików.

Przyjmuję suknie do robienia, kapelusze słomkowe do prania i farbowania. Wszelkie obstalunki z prowincyji za nadesłaniem miary najspieszniéj uskuteczniam.

J. Dzióbczyńska,
ulica Floryańska w Krakowie.

W Pellplinie w Prusach Zachodnich wychodzi od Nowego Roku pod redakcją X. Prob. *Kellera* „PIELGRZYM“, pismo religijne dla ludu.

Prenumerata kwartalna wynosi dla Prus 7½ sgr., dla Austrji 52½ cent. Prenumerować można na wszystkich pocztach austrjackich i pruskich.

Korespondencya „Kaliny.“

P. **Władysławowi A.** w Krakowie. — „Zachwyt“ prędzéj może znaleść miejsce w Pamiętniku — czekamy spełnienia obietnicy, co do dalszych utworów pańskich.

P. **K. B.** we Lwowie. — Wierszyk „Pieśń Kosiarzy“ drukować będziemy.

Na kilka reklamacji które nas doszły, odpowiedzieć tylko możemy, że pilnego dokładamy starania, aby prenumeratorowie odbierali „Kalinę“ **regularnie.** Wina zatém poczt miejscowych, jeżeli spóźniają się z odsyłką.

Do dzisiejszego Nru dołącza się dla prenumerujących **rycina mód i arkusz wzorów i krojów,** które z powodu znacznego opóźnienia poczty niezostały dołączone do poprzedniego Nru.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.

Z przesyłką pocztową: rocznie: 7 złr. 20 c. — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c. w a.

Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.

Mody i **kroje** rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 złr. w. a.

W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Bracka gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencji „Czasu“ księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.

W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.

W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.

Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa,** należy przesyłać wprost do Redakcji.

Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.

Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

W Krakowie. — W drukarni „Czasu“ W. Kirchmayera.